

Jerzy Chromik i...

ON, STREJLAU

SON
WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

ON, STREJLAU

Patronat medialny:



Partner wydania:



Jerzy Chromik i...

ON, STREJLAU

Kraków 2018



On, Strejlau

Copyright © by Andrzej Strejlau 2018

Copyright © by Jerzy Chromik 2018

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2018

Redakcja – Grzegorz Krzymianowski

Korekta – Joanna Mika, Maciej Cierniewski

Korekta techniczna – Joanna Pelc

Projekt typograficzny i skład – Natalia Patorska

Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Fotografie na okładce – Piotr Nowak

Fotografie na stronach działowych – Archiwum domowe Andrzeja Strejlaua
oraz Piotr Nowak

Autor i wydawca dołożyli wszelkich starań, by dotrzeć do wszystkich właścicieli i dysponentów praw autorskich do ilustracji zamieszczonych w książce.

Osoby, których nie udało nam się ustalić, prosimy o kontakt z wydawnictwem.

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

SQN
WYDAWNICTWO
SINCE 2008

Wydanie I, Kraków 2018

ISBN

oprawa miękka: 978-83-8129-304-4

oprawa twarda: 978-83-8129-323-5

*Naszym ukochanym
recenzentkom życia –
Marysińce i Beatince*

WYBRAŁ I WSTĘPEM OPATRZYŁ, CZYLI PROLOG

Bohater tej książki budzi powszechny szacunek. W dniu imienin, będąc emerytem niemającym już za wiele do zaoferowania w dzungli życia, odbiera około 200 życzeń telefonicznych. Z całej Polski. Stacje telewizyjne ustawiają się w kolejce po trzy zdania komentarza do każdej wiadomości ze świata piłki nożnej. Wyrocznia? Kontrowersyjny, ale nie do zastąpienia. Po prostu – ON, STREJLAU!

Dlaczego taki tytuł? Bo Andrzej Strejlau był przeważnie obcy. Nawiązując do filmu sprzed lat, to taki „Obcy – ósmy pasażer PZPN”. Element, który nie przystaje do układanki w naszej pilce. Za inteligentny i za uczciwy. Do tego niepijący alkoholu. W drugiej połowie XX wieku ktoś taki był z definicji podejrzany. Nie pije, to pewnie donosi. Trzeba na niego uważać...

Nie można było się z nim napić, ale można było z nim zapalić. Idealnie pasowała do niego kultowa kwestia z filmu Stanisława Barei: „Pani kierowniczo, czy ja palę? Ja palę cały czas. Na okrągło!”.

Prawie nie gasił papierosów. Jakie palił? „Płaskie” – bo łatwiej było przydeptać. Puszczal z dymem niewiele ponad 20 na dobę.

Znacznie więcej w dniu meczu. Rzucił jednak palenie. Nie dymi już od 15 lat...

Trzy ćwiartki przy pilce! Zwiedził tysiące boisk i stadionów. Bez wahania zabierał głos w różnych gremiach, zawsze gdy nie zgadzał się z jakąś tezą. Nie miał w sobie za wiele z dyplomaty. Narzązał się wszędzie i wszystkim. Nie kalkulował, co mu się opłaci, a co nie. Nie pasował do czasów, w których przyszło mu żyć. Do dziś jest romantykiem futbolu.

Ta książka była pisana trzy lata. Ma ADHD, jak jej bohater, bo to zapis wielu rozmów z nim i z tymi, którzy znali go długo i dobrze. Nie chodzi w niej o przywoływanie powszechnie dostępnych faktów, które łatwo sprawdzić w internecie. Ten wywiad był pisany przy różnych okazjach, ciągle w biegu, i jest zbiorem anegdot o autorze, powiedzonek, które na stałe weszły do słownika opisu meczów.

Rzadko mówiono o nim w towarzystwie per Andrzej. Raczej Strejla. Dziwne nazwisko dziwnego faceta. Ma ładne inicjały – AS. To as w talii związkowych miernot. As bierze wszystko, ale... nie zawsze. Asem wywiadu reprezentacji został bowiem joker, Jacek Gmoch. Bo także w życiu joker jest silniejszy od asa.

Świadków tamtych pięknych piłkarskich czasów mamy już tylko dwóch. Niestety, skłóconych. A idealny byłby zapis w układzie 50/50. Lewa strona książki dla Jacka Gmocha, prawa dla Andrzeja Strejlaua. Każdy patrzył inaczej na wydarzenia, każdy miał innych znajomych. Nie udało mi się jednak nakłonić ich do wspólnej encyklopedii – „Trzy ćwiartki wieku przy pilce”. No to mamy to, co mamy: I tom – *Ja, Gmoch, czyli Najlepszy trener na świecie*, i teraz II tom – *On, Strejla*.

Wydawnictwu SQN, a nade wszystko Przemkowi Romańskiemu, dziękuję za trzy lata niezłomnej wiary, że ta książka znajdzie się kiedyś na rynku wydawniczym.

Życzę nieprzerywanej ziewnięciami lektury!

Jerzy Chromik

Ja dobrze wiem, kto mi dobrze życzy

WPROWADZENIE

Zacznijmy przesłuchanie jak w PRL. Starasz się o zgodę na napisanie książki. Nazwisko:

Strejlau.

Niemiec, Polak, Łotysz czy Żyd?

Polak, urodzony w Warszawie...

Skąd takie niecodzienne nazwisko?

Dobrze, że nie Bręczyszczykiewicz ze Szczebrzeszyna.

Lepiej, ale z odmianą przez przypadki każdy ma kłopoty.

Mianownik: Andrzej Strejlau

Dopelniacz: Andrzeja Strejlaua

Celownik: Andrzejowi Strejlauowi

Biernik: Andrzeja Strejlaua

Narzędnik: Andrzejem Strejlauem

Miejscownik: o Andrzeju Strejlau

Wołacz: Andrzeju Strejlau!

Niewykluczone, że tak przezwano przed wiekami jakiegoś mieszkańca wsi Strzelewo. Jej zniemczona nazwa (Strelau lub Strehlau) brzmiała podobnie do twego nazwiska.

Mam tylko nadzieję, że moi przodkowie nie służyli w niemieckiej armii! Wcześniej rodzinne korzenie były poszukiwane zupełnie gdzie indziej. Mój krewny Jacek Kaczmarek – tak, TEN Jacek Kaczmarek – próbował znaleźć ślady po naszych przodkach w lotewskiej Jelgawie, skąd do Polski po rewolucji w Rosji trafił mój ojciec i jego rodzeństwo, wśród których była babcia Jacka. Pytał tam o nazwisko Strelau. Wszyscy wzruszali ramionami i nagle ktoś się ożywił. „A, Strelau, to taki polski trener piłkarski!”





**PIERWSZA
ĆWIARTKA**

Bilans szczęścia równa się zero

Łaziłeś kiedyś po drzewie?

Nie raz i nie dwa spadłem na głowę.

Pytam o genealogiczne...

Niezbym mnie pochłaniało, ale coś tam wspólnie ustaliliśmy.

Dziadkowie po mieczu i po kądzieli.

Przez 75 lat żyłem w przekonaniu, że dziadek po mieczu był Łotyszem. I stąd to nietypowe nazwisko. Ale kilka lat temu młody pasjonat historii pokazał mi zdjęcia ksiąg metrykalnych i teza o obcym pochodzeniu rodziny została obalona. Okazało się, że moi przodkowie pochodzili z Mazowsza. Znalazł się nawet akt ślubu babci i dziadka. Dowiedziałem się, że Aleksander Strejlau i Kunegunda Ostaszewska przysięgali sobie w 1889 roku w kościele Świętego Krzyża przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie. Według znalezionych dokumentów rok później przyszła na świat ich córka, a w następnych latach jeszcze dwoje dzieci. Potem ślad w polskich archiwach się urywa.

No właśnie, nie wiadomo dlaczego, ale rodzina wyjechała do Rosji, znalazła się na terenie dzisiejszej Łotwy.

Prawdopodobnie pojechali tam za chlebem. Osiedli w Mitawie, w rosyjskiej guberni kurlandzkiej. Dziś to miasto nazywa się

Jełgawa, leży 45 kilometrów na południowy zachód od Rygi i liczy ponad 60 tysięcy mieszkańców. Kolejne dzieci, w tym mój ojciec, rodziły się właśnie tam.



Fot. Jerzy Chronik

Najsłynniejszym zabytkiem w Jełgawie jest barokowy pałac książąt kurlandzkich

Wybrałem się na Łotwę rok temu i zahaczyłem o Jełgawę. Pokażę ci zdjęcia. Urokliwe miasto. Powinieneś je odwiedzić.

Nie byłem, bo nie grałem z Łotwą na wyjeździe, tylko w Ilawie. Było 1:0 po gołu Mielcarskiego.

Masz jakieś zdjęcie przodków?

W albumie rodzinnym zachowało się jedyne zdjęcie Kunegundy i Aleksandra z rodziną. Fotografia wykonana została przed wybuchem I wojny światowej i przedstawia rodzinę, chyba

w komplecie, przy okazji pierwszej komunii dziecka. Najmłodszy z rodzeństwa był Michał – mój ojciec. Był rówieśnikiem syna najstarszej siostry. Kunegunda miała więc dziecko w wieku pierwородnego wnuka. Prawdopodobnie niedługo po zrobieniu tego zdjęcia Strejlauowie opuścili Mitawę. W Warszawie znaleźli się na pewno Michał, Ignacy i Janina. Tyle wiem.

A pozostali?

Może trafili do innych krajów, a może nawet na inny kontynent?

Zacząłeś na Twitterze obserwować tych z drugiej półkuli, noszących to samo nazwisko, ale nikt się do ciebie nie przyznał.

Dziwisz im się? Bo ja nie.

Tajemnicę mogą skrywać rosyjskie archiwa...

Dajmy spokój z tymi korzeniami. Nie szukajmy za głęboko, bo jeszcze wyjdą na jaw jakieś moje związki z Putinem. A wiesz, jak jest...

To wróćmy do znanych członków rodziny: brata i siostry ojca, bo babci chyba nie pamiętasz.

Fakt, babcia zmarła w trakcie II wojny. A Ignacy był żołnierzem AK, walczył w powstaniu warszawskim razem z 17-letnim synem, Jerzym. Mój kuzyn, niestety, zginął już pierwszego dnia walk; stryj przeżył. Ciocia Janina po wyjściu za mąż nazywała się Kaczmarska. Urodziła dwoje dzieci: Bognę i Janusza. Bogusia została śpiewaczką operową, znaną pod nazwiskiem męża – Sokorska. W Piastowie, gdzie mieszkała, stoi obelisk Słowika Warszawy, bo tak o niej mawiano. Brat Bogny, Janusz,

był artystą malarzem i ojcem Jacka, późniejszego barda Solidarności. Jacek Kaczmarski kilka swoich utworów oparł na opowieściach „wujka Ignasia” (*Dylemat, Krowa, Świadkowie*). On jako jedyny próbował zgłębić historię rodu. Trochę o tym pisał w swoich książkach.

Ty byłeś dzieckiem wojny.

Ujrzałem świat w jej szóstym miesiącu, jako drugie dziecko małżeństwa Michała i Zofii z Kuczejewskich. Czekala na mnie czteroletnia siostra Jolanta. To było w domu stojącym przy zbiegu Kaczej i Okopowej.

Dobry adres, no i poród rodzinny...

W lutym, w dodatku podczas wojny, kiedy obowiązywała godzina policyjna, do szpitala niełatwo było dotrzeć, więc domowy był konieczny.

Ojciec czekał na chłopaka, którego można będzie zabrać kiedyś na mecz, pograć z nim w piłkę?

Rodzice przekazali mi w genach wszystko, co niezbędne w grach zespołowych.

Nieprzeciętną koordynację ruchową, szybkość i inteligencję.

Sport był bowiem ważny w obu rodzinach. I po mieczu, i po kądzieli. Moja matka jako nastolatka startowała w biegach przełajowych. Razem ze swoją siostrą Anią jeździły każdej zimy na łyżwach. A ich tata był dobrym kolarzem. W szufladzie jego wnuczki Hanny leży jeszcze złoty medal, który zdobył w wyścigu indywidualnym.



Rodzinne zdjęcie zrobione w Mitawie, z prawej mały Michał stojący pomiędzy rodzicami (jeśli nie zaznaczono inaczej, zdjęcia pochodzą z archiwum domowego Andrzeja Strejlaua)

A twój ojciec był pięściarzem RKS Skra.

Boksował w wadze piórkowej. Już w latach 20. jego nazwisko często gościło na łamach warszawskich gazet.

Żonę poznał oczywiście na stadionie Skry.

Stadion był wówczas przy ulicy Okopowej. Ojciec opowiadał, że pewnego dnia usiadł na trybunie i obserwował zawody lekkoatletyczne. Jedna z trenujących dziewczyn wpadła mu w oko, po biegu podszedł i tak zaczął się sportowy związek dwojga serc, że powiem tak górnolotnie.

Kilka lat później skończył karierę zawodnika i zajął się trenowaniem pięściarzy.

Współpracował z Feliksem Stammem, który od 1936 był trenerem kadry. Wspólna praca tak ich zbliżyła, że Stamm został ojcem chrzestnym mojej siostry.

Ojciec miał nawet pojechać jako asystent „Papy” na igrzyska olimpijskie do Helsinek. Mowa o tych zaplanowanych na 1940 rok.

Zgadza się, od 1938 roku był dyplomowanym trenerem Polskiego Związku Bokserskiego.

Przyszedł jednak 1 września 1939 roku.

A z nim okupacja i rodzinne dramaty. Sport przestał się liczyć. Kilka miesięcy po moich narodzinach matka nie wróciła do domu z wyprawy do centrum miasta. Nie zdażyła uciec podczas łapanek ulicznej. Rodzina żyła przez kilka tygodni nadzieją, że wróci, ale docierały wieści, że Niemcy wywożą więźniów do obozów. Spodziewano się więc najgorszego.

Ojciec musiał zająć się dwojgiem maluchów. Zadać nie tylko o wikt i opierunek.

To go przerastało, więc w domu pojawiła się „pomoc domowa”. Starsza siostra rozumiała więcej, ja nic. Pani próbowała zastępować nam matkę, pewnie była też tak traktowana. Po kilku miesiącach ojciec uznał prawdopodobnie, że jest wdowcem. Mieszkaliśmy wtedy na peryferiach stolicy, przy ulicy Przybylszewskiego, w jednopiętrowym budynku, dokąd przenieśliśmy się z Kaczej.



Pięściarz Michał Strejłau (z lewej)

Nowy adres był już prawie poza miastem, dalej rozciągały się już tylko pola i lasy. Wydawałoby się, że to bezpieczniejsza część miasta.

Pozornie tak. Ale tylko do wybuchu powstania. Pewnego dnia pojawił się na ulicy niemiecki oddział z miotaczami ognia. Szeregowi żołnierze zażądali pieniędzy i kosztowności w zamian za odstąpienie od zaplanowanego zniszczenia. Kazali mieszkańcom, by powybijali szyby i wyrzucili franki na zewnątrz okien. Potem wszyscy mieli zejść do piwnic. Byłem świadkiem negocjacji z okupantem. Obserwowałem wszystko z szeroko otwartymi ustami. Nie rozumiałem, co mówią, ale do końca życia będę pamiętał odruch żołnierza, który widząc przerażenie w moich oczach, wziął mnie niespodziewanie na ręce.

Dlaczego to zrobił?

Najprostsze wytłumaczenie: może gdzieś daleko miał syna w tym samym wieku i myślał o nim bezustannie? Na szczęście dowódcy oddziału doszli do wniosku, że na te cztery jednopiętrowe domy szkoda benzyny. Pewnie dostali też pieniądze. Spokój jednak nie trwał długo. Jakiś czas później zbudził mnie nad ranem odgłos trzaskających drzwi w domu naprzeciwko. Ten huk mam w uszach do dziś. Chyba poderwałem krzykiem resztę rodziny.

Co się działo?

Na Przybyszewskiego dotarła akcja wysiedlania. Zabraliśmy więc rzeczy, które były akurat pod ręką, i pogoń nas do Pruszkowa. Niemcy zrobili tam selekcję. Na szczęście uniknęliśmy rozdzielania. Wepchnięto nas do wagonu towarowego i pociąg ruszył w nieznaną stronę. Dotarł do gminy Secemin na

Kielecczyźnie. Jedno z polskich gospodarstw musiało dać nam schronienie, bo tak nakazał okupant. Co ciekawe, i to było dziełem przypadku, do sąsiedniej wsi trafiła też rodzina mamy.

Jak każde dziecko nie pojmowałeś realiów wojny.

Chciałem biegać, bawić się bez ograniczeń, potrzebowałem ruchu od świtu do zmroku. Do dziś pamiętam lanie, które ojciec spuścił mi za zbyt głośne zachowanie i narażenie mieszkańców wioski na sięgnięcie do nich stacjonujących w pobliżu hitlerowców.

Długo byliście wysiedleni?

Po wyzwoleniu Warszawy, w środku zimy, ojciec z siostrą matki zostawili nas pod opieką rodzin chłopskich i zniknęli na dwa tygodnie. Drogę do Warszawy pokonali prawie wyłącznie pieszo, czasami tylko ktoś podrzucił ich kilka kilometrów furmanką. Chcieli sprawdzić, czy na Przybyszewskiego jest do czego wracać. Na szczęście domy ocalały, więc zabrali nas z Kielecczyzny i zaczęliśmy wszystko od nowa.

Po zakończeniu wojny dzieci też odzyskały wolność.

Każdą chwilę spędzałem poza domem. Chłopcy kopali szmacianki i grali w zośkę, a dziewczyny w klasy. Nie pozostawałem w bezruchu dłużej niż kilkanaście sekund. Nareszcie nikt nie zabraniał mi biegać. Podwórko było moim drugim domem. Bawiłem się od świtu do nocy, aż pewnego dnia...

Cóż takiego?

Najpierw usłyszałem głos nieznajomej: „Synku, synku, chodź do mnie, chodź do mamusi...”. Przez kilka minut nie byłem

w stanie ocenić tych słów. Widziałem wychudzoną kobietę z tobołkiem na ramieniu. Nie rozpoznałem twarzy matki.

Jak ona cię poznała?! Przecież gdy widziała cię ostatni raz, byłeś niemowlęciem.

Byłem i jestem bardzo podobny do ojca, nie mogła mieć wątpliwości.

Gdzie się podziewała przez te blisko pięć lat?

Była więźniarką obozu koncentracyjnego Ravensbrück. Tak się później okazało. Ale najpierw wzięła mnie za rączkę i poszła pod dobrze sobie znany adres.

Pewnie szybko zorientowała się w sytuacji.

Opowiadano mi po latach, że jej „zastępczyni” musiała wyprowadzić się z minuty na minutę. Padło obrzydliwe, ale pierwsze nasuwające się matce słowo: *Raus!*

To, co ojciec sklejał z takim trudem, po powrocie matki stało się bez znaczenia. Pewnie szybko zaprowadziła nowe porządki.

Niewiele rozumiałem z wieczornych i nocnych rozmów rodziców. Może to i lepiej. Podniesione głosy nie zawsze oznaczały chyba kłótnię, ale tak wiele spraw wymagało przecież wyjaśnienia. Jednak ja i moja siostra wreszcie mieliśmy prawdziwą matkę! I spóźnioną o kilka lat miłość.

Miłość miłością, a jeść trzeba było codziennie.

Niestety, o każdy kęs było trudno. Często chodziliśmy głodni. Rodzice się starali, ale pierwsze lata po wojnie były naprawdę ciężkie.

Ojciec wrócił do boksu. W 1945 roku prasa informowała, że „nowo powstały klub BOS ma doświadczonego trenera Michała Strejlausa”.

Jako sześciolatek pojechałem z nim na pierwszy obóz wakacyjny. To było ogólnopolskie zgrupowanie pięściarzy zrzeszenia Budowlanych w Świdnicy. Tam chyba po raz pierwszy obejrzałem mecz piłkarski.

Wyniku tego spotkania pewnie za Chiny nie możesz sobie przypomnieć. To jeden z niewielu takich przypadków.

Mało tego! Nawet nie wiedziałem, czy ktoś wygrał, czy był remis.

To rozumiałe. Byłeś wtopiony w świat boksu. Nauczyłeś się bić na gołe pięści?

Tak. Pięściarze mnie polubili i... trochę wykorzystywali. Wysyłali jako gońca po alkohol.

Zwinny, sprytny i nie niepokojony przez trenerów dostarczałeś im regularnie deficytowy towar. Mimo że byłeś niepełnoletni...

Ale każdy kurier kiedyś wpada. Wpadłem i ja.

Zlecniodawcy poczuli się jednak nieswojo, pewnie mieli poczucie winy, stanęli więc w twojej obronie i uratowali ci skórę.

Ojciec zbilby mnie na kwaśne jabłko. Ale i tak pewnie nigdy więcej nie zostałbym już zabrany na obóz, gdyby nie... podejrzliwość matki.

Pani Zofia „dołączała” cię do każdego wyjazdu ojca, z nadzieją, że będzie musiał pilnować cię wieczorami, a nie szukać przygód.

A po powrocie z obozów odpytywała mnie, co tata robił poza ringiem i czy nie kręciły się przy nim ładne panie.

Nieufność była uzasadniona?

Ojciec był, bądź co bądź, mężczyzną wysportowanym, ubierał się niezwykle starannie, mimo braku sklepów odzieżowych w okolicy. Bliska rodzina szemrała o jego romansie z mężatką, piękną mistrzynią Polski w skokach do wody. Ja tam tego nie zauważałem. Ale bez dwóch zdań panie wzdychały na jego widok.

Nie dość, że przystojny i dowcipny, to jeszcze bardzo zaradny i ustosunkowany, mający rozległe koneksje.

Tak było. Załatwił siostrze mamy mieszkanie na Bielanach, a potem działkę budowlaną w Podkowie Leśnej. Mawiano o nim, że może prawie wszystko, co w czasach powszechnego deficytu było zaletą niezaprzeczalną.

Wolnym krokiem, ale jednak wracała do Warszawy mała stabilizacja.

Tata chodził do pracy w Centralnym Instytucie Wychowania Fizycznego, jak miejscowi nadal nazywali AWF. Rodzina nie dopytywała o szczegóły zatrudnienia. To było okryte mgłą tajemnicy. Nigdy w to nie wnikałem. Sport miał bowiem zawsze ważne miejsce w naszym życiu. Stał się tak samo istotny jak przed wojną. W stołecznym boksie ojciec uchodził za dobrego



Trener Michał Strejla z swoim zawodnikiem podczas meczu bokserskiego
Warszawa – Sztokholm, 1947 rok

szkoliowca. Wyszukiwał utalentowanych chłopaków i opiekował się nimi. W naszym domu dał kiedyś schronienie wychowankowi domu dziecka, Heniowi Tyczyńskiemu. Na jego walki chodziła potem cała stolica, bo turnieje bokserskie to była wtedy jedyna rozrywka. Prawie za darmo. Ojciec zabierał nas czasami na te mecze. Przeżywałem walki na swój sposób. Siedząc blisko ringu, krzychałem podobno do dobrze sobie znanego Tyczyńskiego: „Heniu, lej go w mordę, twoja Zosia patrzy!”.

Relacji z siostrą pewnie nie miałeś wzorowych.

Kłótnie były codziennością, do rękoczynów też niestety dochodziło, bo umiałem dokuczyć. Gdy brakowało jej

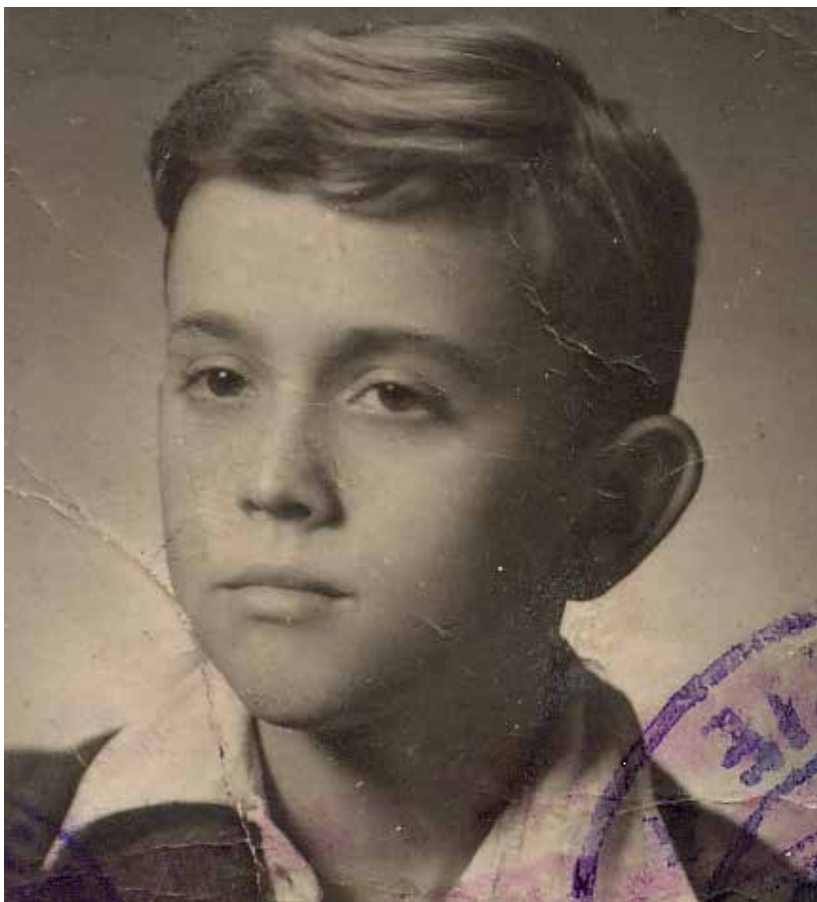
argumentów, to pod ręką było zawsze coś, czym mogła cisnąć. Na przykład żelazko. Raz Jolka rzuciła nim we mnie, ale na szczęście zdołałem się uchylić. Rozciąłem sobie tylko podbródek o żeliwny zlewozmywak. Gdy po kilku dniach próbowałem wyrównać rachunki, szarpiąc ją za włosy, to poskarżyła się tacie. Ojciec szukał mnie, ale odczekałem kilka godzin na strychu, aż wyjedzie z pięściarzami na kolejne zgrupowanie. Gwoli sprawiedliwości, potrafiłem też zachować się wobec siostry po rycersku. Raz w szkole był dzień obowiązkowych szczepień przeciwko czerwonce. Ona dostawała spazmów na widok strzykawki, więc bohaterko przyjąłem dwie dawki. Najpierw w lewą, a potem, po odstaniu w kolejce i po kolejnym odczytaniu nazwiska Strejlau, w prawą rękę.

Niedługo cieszyliście się obojgiem rodziców.

Siedem lat po powrocie matki z obozu cierpiący na wrzody żołądka ojciec trafił na zabieg do znajomego chirurga w szpitalu pod wezwaniem Przemienienia Pańskiego. Dzięki temu miał zagwarantowaną operację ze znieczuleniem. Innych cięto wtedy na żywca. Ale każde znieczulenie jest czasowe. Po zabiegu dręczyło go pragnienie. Domagał się wody, której pielęgniarka nie chciała mu podać. Zbesztana przez niego zostawiła kubek na parapecie i uciekła. Chory zwłókl się w nocy z łóżka. Rano znaleziono go martwego.

Na pogrzeb przyszło wiele pięknych pań z kwiatami?

Ja tego akurat nie pamiętam, ale potem nastaly trudne lata. Jeszcze dlugo po jego smierci kapelusz pozostawiony na wieszaku stwarzal wrazenie, ze tata tylko spi i zaraz wyjdzie ze swojego pokoju.



Fotografia z legitymacji szkolnej, IV klasa

Los tak chciał, jak zwykł mawiać Kazimierz Górski.

Bilans szczęścia równa się zero. Zostaliśmy we troje. Mieszkaliśmy w tym samym mieszkaniu na ulicy Przybyszewskiego. To nadal były rogatki Warszawy i brakowało różnych udogodnień – wodę noszono wciąż ze studni i palono w piecach kaflowych. A matka musiała pracować na dwie zmiany w wytwórni papierów wartościowych.

Starala się zarobić na nasze utrzymanie. Czasu na wychowywanie dzieci jej nie starczało. Wtedy łatwo było wpaść w złe towarzystwo. Po przejściach w obozie nie bardzo radziła sobie z życiowymi sprawami. Znowu bywały takie dni, że chodziliśmy głodni. Mimo bardzo trudnej sytuacji matka nie zwróciła się o pomoc do rodziny ojca, nie chciała utrzymywać z nimi kontaktów.

Miała za daleko?

Siostra Michała, Janina Kaczmarska, mieszkała w domu w Piastowie. Stryjek Ignacy przeniósł się z Warszawy do Grodziska Mazowieckiego. Bywałem u nich, ale nie za często. Do dziś wspominam tylko wspaniałe kopytka ciotki Janiny, które jadłem, gdy wreszcie zajrzała na Przybyszewskiego. Była jednak jakaś bariera w naszych relacjach rodzinnych.

Co było powodem niechęci?

Nie wiadomo. Ale nie ulegało wątpliwości, że szwagierki nie przepadały za sobą. To nawet dziecko widziało.

Ponoć do szkoły podstawowej zgłosiłeś się sam, jako sześciolatek.

Bo chodziły tam siostry, rodzona i cioteczna. Oznajmiłem, że znam litery i umiem czytać, więc proszę o niezwłoczne zapisanie. Kierownik szkoły nie dowierzał i podsunął mi pod nos gazetę. Płynnie przeczytałem nie tylko rubryki z wynikami sportowymi.

Skazując się przed czasem na lekcje, nie wiedziałeś, co robisz.

Oj, tak! W pierwszej klasie nie mogłem wysiedzieć w ławce. Musiała towarzyszyć mi matka. To jednak niewiele pomogало.

Codziennie rozsadzała mnie energia. Po lekcjach rzucałem tor-nister i gonilem na podwórko.

Nauka była nawet nie na drugim, ale na trzecim planie.

Nauczyciele dla spokoju wysyłali mnie podczas lekcji na dziedziniec, żebym sobie pobiegał. Wiedzieli dobrze, że jak tego nie zrobią, to i tak wyskoczę oknem, żeby się wyszaleć. Nie było silnych, nie było sposobu. Miałem ADHD, zanim zrobiło się o tym głośno. No ale kto miał to wtedy zdiagnozować? Matka miała ze mną krzyż pański, szczególnie po śmierci ojca, bo musiała sobie radzić sama z moją energią. Podczas wakacji, idąc do pracy, zamykała mnie w domu na klucz. Po tygodniu dziwiła się, że mam kolejne buty w strzępach.

Wyskakiwałeś przez okno?

Szczepan i Jędrak, bracia mieszkający na parterze, ustawiali „żywą drabinę” pod balkonem na piętrze, zeskakiwałem przy ich pomocy na trawę i całymi dniami grałem w piłkę.

Przed jej powrotem z pracy wracałeś do domu tą samą drogą?

Tak. Ale to wyszło na jaw dużo później. Doniosły sąsiadki. O znikających torebkach cukru nie musiały jej informować. Matka zorientowała się sama.

Odkryłeś jej zapasy?

Porażki na boisku osładzałem sobie codziennie. Dziś cierpię więc na cukrzycę...

Jak wszyscy na podwórku kopałeś piłkę. A kiedy zacząłeś nią rzucać?

W podstawówce poznałem szczypiorniaka. Mieliśmy niezłą paczkę. W szkolnej drużynie grał na bramce smukły Władek Komar, późniejszy mistrz olimpijski w pchnięciu kulą z 1972 roku. Po latach spotkaliśmy się przed wyjazdem na igrzyska w Monachium. Zagraлиśmy sobie w ping-ponga. Miał kłopoty z utrzymaniem rakiетки w dłoni wielkiej jak bochen chleba. Nie mógł ze mną wygrać, bo byłem ruchliwy jak fryga.

A co tam było na wywiadówkach w szkole?

Matka nie nadążała z wyciąganiem mnie z opresji. Zachowanie nieustannie dalekie od ideału. Stopnie z większości przedmiotów też nie były imponujące. Tak naprawdę czekałem tylko na lekcje wuefu i historii. Reszta średnio mnie interesowała.

A najpoważniejszy kryzys?

Po tym, jak z kolegą Władkiem zrzuciliśmy z okna łazienki kosz na głowę inspektorowi oświaty, matka długo błagała o pozostawienie mnie w szkole. Nie było tanich usprawiedliwień. Mnie ocalono cudownie, może dlatego, że byłem półsierotą, ale kolegę relegowano. Miał mniej szczęścia albo mniej przekonującą rodzicielkę? Chyba jednak mniej szczęścia, bo życie go potem nie rozpieszczęło.

Trafił za kraty?

Po szkole dostał pracę kierowcy wielkiej ciężarówky, ale był zbyt łatwowierny. Regularnie wrzucano mu na pakę trefny towar, aż

wpadł i trafił na długo w miejsce odosobnienia. Odsiedział wyrok i wrócił na stare bielańskie śmieci.

Spotkałeś go po latach?

Byłem kiedyś w towarzystwie kolegów wykładowców z AWF. Przysiadł się do nas. Przy kawie rozmawialiśmy z nim o sporcie i nie tylko. Raz jeszcze potwierdziło się, że szkoła życia wcale nie musi być gorsza od wyższej uczelni.

Podwórko kochało cię bezgranicznie.

Szczególnie blisko byłem związany z braćmi Operaczami. Matka miała ich jedenastu i jedną rezerwową – siostrę.

Z taką bandą prędzej czy później musiałeś trafić na Legię?

Mój pierwszy ważny mecz na Łazienkowskiej był zimą. Przeskoczyliśmy przez płot, co było wtedy nie lada wyczynem. Pamiętam dokładnie: 21 grudnia 1952 roku rozgrywano finał Pucharu Polski



Drużyna juniorów AZS-AWF z lat 1955–1956, niestety bez Operaczów (Andrzej Strejlau w pierwszym rzędzie, po lewej)

na śniegu. Legia II przegrała z Polonią (wówczas Kolejarem) 0:1. W drużynie wojskowych napastnikiem był Kazimierz Górski. Chyba wtedy zobaczyłem go po raz pierwszy, ale kto to by dziś dobrze pamiętał?

W pamięci zostały jednak tamte Bielany...

Latem kąpałiśmy się w „nerce”. Tak nazywano miejscowy staw. Za naszym domem, co już kilkakrotnie podkreślałem, były już tylko łąki, gdzie pięknie kwitł żarnowiec i żółciły się łachy piachu. Nie wiele dalej było wojskowe lotnisko. Właśnie tam grałem od świtu do nocy, bez opamiętania. Piaszczyste boisko nazywaliśmy „Saharą”. Sami plantowaliśmy teren, by móc rozgrywać mecze. Były nawet metalowe bramki z drucianymi siatkami. To tam w 1954 roku wypatrzył mnie trener Jerzy Talaga. Szukał chłopaków do drużyny juniorów AZS-AWF. Poprosił najlepszego, żeby wybrał jeszcze kilku kolegów. Na pierwszy trening przeprowadziłem trzech Operaczków. Tylko tyłu moim zdaniem się nadawało. Dobrze grał Władek, nieco gorzej Zdzisiek, a najslabiej Edek.

Pewnie byłeś przez nich szanowany.

Chuligani potrafili docenić utalentowanego sąsiada. Miałem dzięki nim najlepszą ochronę w dzielnicy. Talaga też zaufał lokalnym zakapiorom, powierzył im zgodnie z regułami pedagogiki Makarenki opiekę nad sprzętem. Dzięki temu nic nie ginęło. Jedyne przypadki podwędzenia koszulki bracia załatwili między sobą.

Trener też był pod ochroną?

No pewnie. Raz, gdy szedł z żoną, zaczepiono go na ulicy z propozycją nie do odrzucenia: „Wyskakuj, palancie,

z jesionki!”. W ostatniej chwili któryś z napastników zauważył: „Ty, to trener Operaczów”. Napastnicy odstąpili od zuchwalej kradzieży, ale bracia i tak ich dopadli. Podczas pasterki. Nikt bowiem nie mógł im podskoczyć i nikt nie mógł grozić ich znajomym!

Dogadywałeś się jak mało kto z rodziną, o której ze strachu mówiono w okolicy tylko szeptem.

Byłem im potrzebny, bo umiałem czytać i pisać. Jedenastka braci notorycznie uchylała się od obowiązku szkolnego i nie brała książek do rąk. Brała za to, co popadło, z pobliskich sklepów. Nie płacąc oczywiście. Milicja Obywatelska sporo o tym wiedziała, więc dostarczała kolejne wezwania na przesłuchania podejrzanych z rodziny. Jako lepiej wykształcony kolega nie odmawiałem pomocy. Pisałem raz po raz podania i odwołania, tłumaczyłem na piśmie powody niestawiennictwa na kolejnych rozprawach sądowych. Taki sąsiad jak ja to był skarb. Byłem bardziej pomocny niż ojciec chrzestny jednego z braci – Bolesław Bierut.

Dlaczego mieli tak ważnego „Corleone”?

Poszcęściło im się. Władza ludowa wytypowała podczas prezydentury Bieruta akurat tę wielodzietną rodzinę do propagandowej szopki. Co z tego mieli ci biedni ludzie? Dość długo pojawiał się w ich domu umyślny urzędnik kancelarii i pytał Operaczową, w czym można pomóc. A przecież rodzina radziła sobie sama, jak mogła. Najsilniejszy z braci, Władek, był furmanem, zarobkowo woził piach na budowę Huty Warszawa.

I utrzymywał resztę?

Resztę dokradali. Bracia szanowali tylko matkę, choć biła ich tym, co było pod ręką. Ojciec tramwajarz, owszem, lubił napić się w pracy i po pracy, ale też dbał o rozwój fizyczny synów. Przychodził w wolnych chwilach na mecze drużyny juniorów Talagi i w chłodne dni wyjmował zza pazuchy butelkę najtańszego wina. „Chłopcy, walczący czasami w deszczu, powinni się przecież czymś rozgrzać” – rozumował. Co z tego, że trener nie akceptował takiego wspomagania.

Ich matka też lubiła popatrzeć na synów w podstawowej jedenastce Talagi?

Trzymając przy piersi i karmiąc kolejne dziecko, potrafiła rzucić wiązanek i krzyknąć zza linii bocznej: „Złam nogę temu s...”.

Kółko teatralne w TPD nr 1 prowadzone przez Zbigniewa Zapasiewicza (w środku), Andrzej Strelau na pierwszym planie



Podstawówkę jakimś cudem ukończyłeś w terminie...

Choć o tornistrze przypominałem sobie najczęściej, gdy trzeba było zrobić bramkę na podwórku. Lektur raczej nie czytałem, ale umiejętnie wyciągałem wnioski z odpowiedzi przepytanych przede mną. Pamiętam dobrze *Antka*, i to nie Piechniczka, przeczytałem Trylogię Sienkiewicza, ale nie przebrnąłem przez *Pana Tadeusza*.

Taka norma ucznia trzymającego z tymi z ostatnich ławek, którzy powtarzali każdą klasę.

Nie miałem dobrej opinii, mój stopień z zachowania był stale obniżany, więc ogólniak wydawał się poza moim zasięgiem. Szansę dostałem przypadkowo w placówce Towarzystwa Przyjaciół Dzieci nr 1 (dzisiejsza „Jedynka”, czyli I LO im. Bolesława Limanowskiego). Matka jeździła ze mną od liceum do liceum. Po trzeciej nieudanej próbie, gdy wracaliśmy załamani do domu, spotkała w tramwaju znajomego inspektora oświaty.

Nie był to na szczęście ten sam, na którego głowę zrzuciłeś kosz z okna.

Inny. Po krótkiej rozmowie obiecał przyjrzeć się sprawie. Pomogła też pewna pani z wydziału oświaty. Nawet nieźle trafiłem – w liceum wychowawczynią klasy była matka Zbyszka Zapasiewicza, matematyka. Do tej szkoły chodzili ciekawi koledzy i interesujące koleżanki: Zbigniew Religa, Andrzej Paczkowski, Anna Prucnal.

Zupełnie niespodziewanie znalazłeś się więc w gronie zanych absolwentów, którymi do dziś chwali się placówka.

À propos *Placówki*. Na egzaminy wstępne przygotowałem sobie dowcipną odpowiedź. Pytany o autora tej książki podałem

nazwisko: Aleksander Głowacki. Nie wszyscy egzaminatorzy „kupili” tę prawdziwą przecież odpowiedź.

Ale zawsze podkreślasz, że najważniejsze było to, że w TPD nr 1 uczył wyśmienity wuefista i nauczyciel przysposobienia wojskowego – Stanisław Czerwiński.

Dzięki niemu obowiązkowa była gimnastyka na przyrządach. Kto nie ćwiczył, ten nie wachał piłki, nie reprezentował szkoły w grach zespołowych. A co jeszcze ciekawe, w programie szkolnym obowiązkowa była logika.



Obóz narciarski AWF w Zieleńcu, Andrzej Strojau w pozie do walki

Do dziś imponujesz nią w każdym towarzystwie.

Ważne dla mnie wtedy było co innego – grałem w koszykówkę, choć wzrost zdawał się to wykluczać. Ten brak centymetrów nadrabiałem doskonałym kozłowaniem. Mieściłem się bez kłopotu w pierwszej piątce. W 1958 roku moja szkolna drużyna zdobyła mistrzostwo Warszawy. Tygodnik ilustrowany „Sportowiec” zamieścił nawet fotografię zespołu.

Masz ją do dziś w rodzinnym archiwum?

U siebie poszukaj!

Nie mam aż tak starych roczników.

To idź do biblioteki. Nie masz czasu?

Tak jak i ty nie miałeś przed maturą. Egzamin dojrzałości zdałeś chyba najpierw na boisku?

Grałem z kolegami, którzy mieli papiery na poważne kariery. Życie to potwierdziło. Kilku trafiło do mocnej sekcji koszykówki „Czarnych Koszul”.

A ty niespodziewanie zrobiłeś krok w stronę boksu.

Tak zwany pierwszy krok bokserski. Mogłem spełnić marzenie ojca, który chciał, bym nawiązał do karier Czortka i Bazarnika. Nie mówiąc o nim samym. Tak więc z żelaznym kompanem z podstawówki, Władkiem, tym samym, który wslawił się zrzuceniem wraz ze mną kosza na głowę inspektora oświaty, trafiliśmy do sekcji bokserskiej. Pierwsza próba w ringu nie wypadła nawet najgorzej. Ostatecznie stoczyłem między linami tylko dwie walki. Bilans do przyjęcia – jedno zwycięstwo i jedna porażka.

Mierzyłeś 175 centymetrów i ważyłeś 60 kilogramów, więc „chodziłeś” pewnie międy wagą piórkową a lekką.

Słowo „chodziłem” dobrze oddaje moje poczynania w ringu. Bardzo dobra praca nóg, ale brak mocnego ciosu, co wykluczało postępy. Sędzia, a jednocześnie instruktor pięściarstwa, odradził mi więc dalsze walki. O wiele lepiej wypadalem na ulicy, zaskarbiając sobie szacunek kolegów. Raz zobaczyłem, jak dwóch wyrostków wyrwało szalik dziewczynie spacerującej z chłopakiem. Bez wahania kazałem im oddać. Rozmowa była krótka.

– A bo co?

– Jajco!

– No to chodź na solo!

– Dobra!

Pojedynek nie trwał długo. Po dwóch ciosach oprych słuchał płyt chodnikowych, a świadkowie z uznaniem kiwali głowami.

Nie dość, że mądry, strzela gole, to jeszcze umie się bić nie gorzej niż Operaczkowie, którzy nie trenowali przecież w sekcji pięściarskiej, bo woleli ćwiczyć na ulicy.

Sport kwalifikowany był im obcy!

Czy to prawda, że gdy po latach, podczas zjazdu absolwentów TPD nr 1, pojawił się ogień w szkole i rozległy się syreny straży pożarnej, to koledzy zapytali: „Andrzeju, to nie ty podpaliłeś?”.

Taką miałem w liceum opinię. Co złego, to ja...

Gdzie mogłeś trafić po maturze?

Na pewno nie do Akademii Sztuk Pięknych. Nie byłem, jak niektórzy członkowie rodziny ze strony ojca, uzdolniony

artystycznie, nie śpiewałem i nie malowałem. W szkole wygrałem tylko jeden konkurs pozasportowy – kaligrafii...

Byłeś skazany na Akademię Wychowania Fizycznego.

To uczelnia, z którą był związany mój ojciec, tam pracował też mój podwórkowy mentor, Jerzy Talaga. Sprawnościowe testy zaliczyłem celująco, więc pewne luki w wiedzy uszły mi płazem. Punktów i tak wystarczyło.

Znalazłeś się w siódmym niebie.

Diabeł w siódmym niebie? Przesadzasz. Co fakt, to fakt, studia wypełniała mi gra w piłkę od rana do wieczora. Najbliżej było mi do szczypiorniaka. W nim realizowałem się najpełniej. Występowałem w barwach Varsovii, a potem Warszawianki. Grałem na poziomie pierwszoligowym, trafiłem nawet do reprezentacji Polski piłki ręcznej 11-osobowej.

Rozgrywki w tej formule toczyły się do 1966 roku, więc za długo nie pograłeś.

Nie narzekałem. Zgłębiałem teorię, odkrywałem dyscypliny, o których mogłem tylko pomarzyć na podwórku. Ot, choćby skok o tyczce. Lubilem bardzo lekkoatletykę, byłem królem strzelców akademickiej drużyny futbolowej, z 33 golami w lidze.

Ale gdyby badania lekarskie były dokładniejsze niż podczas rutynowych w komisji wojskowej, to nikt by cię nie przyjął na tę uczelnię.

Skąd wiesz?

Od Marysi.

Na czwartym roku zrobiono mi prześwietlenie. Diagnoza zabrzmiała jak wyrok. Wrodzona wada kręgosłupa! Rok później przyszło potwierdzenie wstępnej diagnozy. Profesor Weiss nie pozostawił złudzeń. Objawy choroby Scheuermanna, czyli kifozy młodzieńczej. Nie wnikając zbyt w szczegóły, to martwica i obumieranie trzonów kręgowych oraz krążków międzykręgowych kręgosłupa. Przyczyna genetyczna lub mikrourazy trzonów kręgów spowodowane nadruchliwością w dzieciństwie.

Ten drugi powód wydaje się wielce prawdopodobny. Całodzienna gra bez butów sportowych nie mogła wyjść ci na dobre.

Jeszcze trochę szczegółów z pierwszej ćwiartki mego życia i się okaże, że powinienem podziękować Niemcom za wkroczenie, bo inaczej zabiegałbym się na śmierć. A tak trochę dni przesiedziałem w bezruchu.



Koniec fragmentu
Zapraszamy do księgarń



WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

